

Ciotka z Piekar Rudnych

Kamyk w okno i wstajemy z mamą, bo na dworze czeka ktoś w potrzebie, zazwyczaj krewny z wiadomością o czyjejś śmierci. Tym razem otwarłyśmy na oścież okna, pod którymi nikogo nie ma. Upewniamy się nawzajem, że słyszałyśmy delikatne stuknięcie w szybę. Zresztą mnie nie tak łatwo obudzić. Jednak wiemy już, że ktoś próbuje się z nami pożegnać, czujemy obecność kogoś bliskiego, kto odchodzi. Mama z trudem przykłęka na jedno kolano, bierze różaniec i głośno wzdycha:

- *Nastka (Anastazja)...*

I jak zawsze następne stuknięcie w szybę, i wyobraźnia szybuje. Stajemy naprzeciw czyjegoś płaczu, westchnienia, więc ogarniamy wzrokiem zegar, bo coś już nas raz obudziło, znów sprawdzamy godziny odejścia i wiemy, że ktoś przyszedł po modlitwę. Otwieramy nocą szeroko okno na zapach konwalii, a po nich kwitnącej maciejki i dzikiej róży. Specjalnie sadzonych w tym miejscu, żeby ukochany przez nas przeciąg zaganiał je do domu. Nie lubimy mdłych białych lilii, bo one stoją tuż przy trumnie na straży nóg zmarłych, zmęczonych i czekających na swą ostatnią drogę z rodzinnego domu. Jako bliscy odwiedzamy ich w ciągu trzech dni i darzymy modlitwą. Latem i jesienią zapach kwiatów dopełnia powiew z posmakiem ziemi, tworząc wyraźne ramy tragicznych wydarzeń. Za to zimą i wiosną zapach ziemi nasiąkłej wodą bije zimnem. Wtedy też mocniej czujemy związek z odchodzącymi.

Tym razem, gdy otwarłam oczy, księżyc zawiesił się płaczliwie w rogu okna, oświetlał żwirową alejkę przy bramie z kutymi płomieniami zwieńczeń. Jakby poza domem tliła się noc, a na naszym płocie wytyczała granicę. Pełnia. Mama *Nysia (Agnieszka)* szerzej otwarła okno, wpuszczając rześkie powietrze, które skąpało nas zapachem akacji. Na widoku stali zgarbieni kuzyni, jakby nieśli ze sobą z Piekar Rudnych nie tylko wieść, ale też ciężar smutku. Przyszli po mamę, szeptali przy drzwiach, ronili pojedyncze łzy i tracili je chyba wbrew sobie. Tylko wtedy widziałam ich niemoc, przecież mówili o śmierci. Bliźniacy pełni wdzięku i siły prawie trzydziestoletnich mężczyzn, co poradziła z moimi braćmi zbudować żywą wieżę sięgającą nieba i mnie jedenastolatkę na niej postawić, teraz wtulili się w moją mamę i pocieszali siebie i ją. Młodzi górnicy zaspokoili też ciekawość *Nysi*:

- *Nastka nie żyje? O której umarła?*

- *Mama na wieczór siedli se z nami, ale tako śpionco byli, że poszli do trzeci izby i tam położyli sie... Jak to pedzieli: „na trocha, żeby ino łodpocońć”. Nawet łozko było zasłane. A my wszyscy byli w srogi kuchni i godali, co się w robocie dziolo. Jakoś po godzinie, może po dwu, tata posłol mie do mamy i jo nie umiol jom łobudzić. Dopiyro Zeflik pedziol, że mama nie dychają. Było na pewno po dwanosty w nocy.*

- *Jorguś polecioł na pogotowie, przyjechała karytka, ale dochtor pedziol, co łona już nie żyje i trzeba rano wszystko załatwić z pogrzebym. Byli my na farze, ale tam było cima i tato nom pedziol, co by rano tam jesce roz iść.*

- *Ciotko, proszyny wos, co byście nom mama łoblykli do trumny. Łoni majom wszystko przyrychtowane.*

Telefon w obrębie całego *gonka*, ulicy, a nawet gminy był dobrem luksusowym, więc te złe i dobre wiadomości same przychodziły nocą, pod okno. Mama jak żołnierz pod komendą umiała ogarnąć szybko wszystko potrzebne w ostatniej drodze. Przychodziła na miejsce jeszcze nocą i z pietyzmem zaczynała obmywanie zmarłej. Schowałam się pod pierzyną, nawet odgrodziłam się nią od braci *tupłoków* (bliźniąt), bo tak mocno o trzeciej w nocy łaknęłam snu. Dostałam różaniec do ręki, na czoło krzyżyk i przytulenie z zapowiedzią rychłego powrotu z Bobrownik. A jednak coś mnie podkusiło, żeby i tym razem zapytać, czy mogę z nią iść. Spojrzała na mnie surowo i stwierdziła, że tak, ale pod warunkiem, że dotrzymam im kroku. Szybko się ubrałam w trzeciej izbie. Ruszyliśmy w noc i polną drogą do Piekar Rudnych. Trzeba było przejść obok *Rybiorza* i *Wacmana* - stawów, w których odbijał się podążający za nami *miesiąccek* (księżyc). Podejrzewam, że towarzyszyła nam również modlitwa, ale każdy

samotnie ją odmawiał. Ciszę przerywał maminy nierówny oddech, który zdradzał jej wiek. Zaczęła chłopców wypytywać o szczegóły:

- *Łóżko jest przyręchtowane? Płachta, poduszka i sztrózak trza byndzie potym spolić. Wasza mama chciała być pochowano w tym klajdzie, we wtorym była na pogrzebie babki, strzewiki domy te z lata z tamtego roku. Chopcy jesce jedno: tata byndzie vos fest potrzebował. Musicie przy niym być.*

Kuzyni tylko kiwali głowami jak figurki w *betlyjce* (w szopce). Nie chcieli i nie mogli dyskutować ze swoją ciotką, oddali się pod jej komendę, jak to często mężczyźni robili w sytuacjach tragicznych. *Ujek* (wujek) *Maryś*, mąż *Nastki* pewnie poddał się żałobie. On nie pił wódki, nie cierpiał alkoholu. *Zeflik* (Józef) i *Jorguś* (Jerzy) nawet nie wiedzieli, jakie mieli szczęście, że u nich nikt nie domagał się dyskusji po północy. Może tu zadziałało to, że pracował na Galgenbergu, tak jak przed wojną *starszerek* u kamilianów w Zakładzie Leczenia Pijaków (od 1949 roku to już tylko placówka szpitalna) jako *wachtyrz* (stróż). Może podziało to, że widział i słyszał, jak pijani tracą rozum dla wódki. Teraz tylko pilnowałam równości kroków, żeby się nie spóźnić do ciotki.

Zadzwoniliśmy. W *antryju* (przedsiönku) ogromne *zdrzadło/żdżadło* (lustro) przykryto chustą, więc teraz wydał się jeszcze mniejszy niż był, przypominał drózkę labiryntu kierującą w stronę *sypialki* (sypialni), w stronę zmarłej. W idealnej ciszy nie było miejsca na tykanie ściennego zegara z kukułką, umarli nie liczą czasu, a ten z nimi przebyty nie powinien być odmierzany na minuty. Zatrzymane *werki* zostaną odblokowane i po trzech dniach wrócą do życia. Zaczęła się *pusto noc* (czuwanie przy zmarłym).

Modlitwą wypowiedaną półgłosem *Nysia* przygotowała do ostatniej drogi swoją siostrę, myjąc ją jak dziecko w ocynkowanej wannie i ubierając na tę drogę w odświętny strój. Tym razem długa do łydek spódnica ukryła jej kształtne nogi, rękawek koszuli i *jakla* (rozpinany sweterek) schowały szczupłe ramiona, tylko dłonie splecione z różańcem wsparte na modlitewniku świadczyły o jej wyjątkowej kruchości. To te same ręce, które latem z przepastnych kieszeni wyławiały dla mnie najśłodsze na świecie i pachnące słońcem papierówki. Aksamitna chusta zarzucona na ramiona niczym kurtyna zakrywała kształt jej cielesności, wyciszała nasze szlochanie. Postawna i wyrazista ciotka *Nastka* już od dłuższego czasu malała i zamykała się w sobie jak rodzynek, a przy tym stawała się słabsza, delikatniejsza, pergaminowa i ulotna. I w tej chwili nie sposób było sobie wyobrazić, że obrządek ostatniego ubierania mógłby wyjść poza dom i zapobiegliwość najbliższej rodziny, czyli najstarszej siostry. Nie było reguły, co do zaszczytnego obowiązku, ale i tak w momentach odwiedzin kostuchy ujawniały się zdolności nie do końca wytłumaczalne, uciekające logice. Wszystko to brało początek w dłoniach *Nysi*, która modląc się i rozmawiając w *duchu* ze zmarłym, dostawała od niego przyzwolenie na zgięcie nóg czy zamknięcie ust i oczu. Działo się tak niezależnie od czasu, jaki minął od ich śmierci i właśnie w jej rękach prawa fizyki topniały, gasły niczym świeczka. Prawa natury i sztywne, zimne ciało zmarłego jeszcze bardziej odgradzały od życia, ale mamine przywołanie wszechobecnego szacunku i tkliwości modlitwy pozwalało na umycie i ubranie odchodzących, a nam na zatrzymanie wiary w pozagrobowe istnienie.

W absolutnej ciszy nocy tylko szept modlitw i odgłosy tłumionych rozmów prowadzonych w kuchni nie pozwalały mi zasnąć. Ten pierwszy raz pozwolono mi na udział prawie we wszystkim. Wchodząc w półmrok *sypialki*, przekroczyłam granice prywatności domowych pieleszy, zostałam dopuszczona do intymności snu. Ciotka *Nastka* zdawała się zanurzać w jego odmętach i mój wzrok coraz mocniej wyłapywał regularny rytm jej oddechu. Hipnotycznie wpatrywałam się w piersi zmarłej. Bałam się, że ją żywą pogrzebią. Zasnęłam i we śnie ciotka przesunęła dłonią po mojej głowie, uspokajając mnie, przekonując, że to nieważne, bo taka kolej rzeczy. A jednak zapytałam:

- *Mamo, jak to jest... Skąd wiemy, że na pewno ktoś nie żyje?*

- *Lyjna (Helena) to widać, a dochtór przychodzi i zapisuje w papiorach, że ktoś umar, bo serce mu nie bije i nie dycho.*

- *A jakby tak się pomył?*

- *To bez to trzy dni rzykomy przy trumnie i widzimy, co się dzieje. Ale Pon Bócek nikogo nie biere na 50% ino na zawsze. Przypomni se naszo babka, tyż ci się wydowało, że dychajom. Bez to przesiedziała przy niy aż te pora godzin.*

Już dawno zaświtało i wypadało wracać do domu, tym bardziej, że już się wszyscy głośno pomodlili. Mama zaczęła zwyczajowo z Bertą i *ujkami* rozmowę po niemiecku, a ja jak zwykle niczego nie rozumiałam. Przy drażliwych i trudnych tematach rodzice i dziadkowie włączali w użycie język niemiecki, a gdy zapominali o pociechach mówili po śląsku, więc zajmując miejsce pod stołem lub na *ryczce* (niskim stołeczku), staraliśmy się wręcz nie oddychać, wsłuchując się w niesamowite opowieści. Tym razem mama i jej szwagier zostali przy niemieckim. Wpadłam na chwilę do kuchni, gdzie *Zeflik* i *Jorguś* siedzieli ze *staroskiem*, który palił fajkę z długim cybuchem i z główką w kształcie twarzy Piłsudskiego. Zapach dymu tabaki okadzał braci i otulał. Przez moment miałam wrażenie, że nad dziadkową *ryczką* unosi się jakiś kształt. Pocieszałam się, że to efekt nieprzespanej nocy. Pożegnałyśmy się ze wszystkimi i ruszyłyśmy w powrotną wędrówkę. Lubiłyśmy z mamą wspólne długie spacerki, miałyśmy wtedy dla siebie prawie niczym nieograniczony czas. Często milczałyśmy, ale milczałyśmy wspólnie.

W ten majowy poranek dotarło do nas, że znowu coś się skończyło i o ile ja czekałam na nowe, o tyle mama Nysia sama coraz mocniej przewidywała swój koniec. *Rychtig* (faktycznie) odeszła o wiele później, samotnie, w szpitalu. Trzy miesiące trwała jej wewnętrzna walka ze śmiercią. Co drugi dzień (taki był grafik stróżowania z siostrą na zmianę przy mamie) naocznie zgadywałyśmy, na jakim etapie rozgrywa się maraton. *Necrosis coliquativa*, czyli rozmiękanie mózgu, a w medycznym żargonie *martwica rozplywna tkanki mózgu* obejmująca zwykle obszar unaczynienia jednego lub kilku naczyń tętniczych, ale jak wszystko w wypadku mamy miało to u niej charakter całościowy, czyli jak ordynator stwierdził: *tam już nie ma mamy, został tylko pień odpowiedzialny za wegetację*. Nie dało się uwierzyć. Wiara nie może stać bez nadziei co do losu ukochanej osoby, więc wyszkolone w radzeniu sobie z wrogością szpitalnego świata pilnowałyśmy jej życia bez życia. Wkraczałyśmy z gąbką w rękę w jej cielesność mimo smrodu gnilnego, mimo współczulnego dla nas jęku wywoływanego dotykiem obmywanych fragmentów, z których teraz mama się składała. Pragnęłam dla niej wszystkiego, co najlepsze, ale czy śmierć może być lepsza? Myślę, że *Nysia* już przed jej wizytą odeszła, zostawiła jej tylko ciało z cierpieniem za i dla nas. Jednak w tej chwili była święcie przekonana, że ją odprowadzę na skraj kresu i podam gromnicę, która oświecili jej ostatnią drogę. Nawet dopytywała, czy u ciotki *Nastki* było wszystko dobrze, czy nie bałam się.

W tym świecie i w tym czasie na moment jej zimne dłonie zagarnęły moje ręce i dawały siłę do nieplakania. Maszerowałyśmy tak, jakby nasz *gonek* i dom leżały za zakrętem. Szłyśmy zdeterminowane, by iść w tej chwili do końca. W domu wszyscy już wstali, tata z braćmi i siostra ze swoim mężem i malutkim synkiem krzatali się w sieni, wybierając się do kościoła. Dzisiaj niedziela, trzeci maja. Jest krótko przed siódmą, a w zasadzie *trzyćwierci na siódmo*, w każdym innym wypadku łóżko byłoby zaścielone, a my z mamą w drodze do kościoła. Ciotka *Nastka* już nie wstanie jutro, ale też chłopcy i tak nie idą do roboty. Mamie przypomniało się, że trzeba jeszcze drugi dom nakarmić, że się umówiła z *ujkiem* na obiad. W domu żałobników lepiej nie zaczynać prac domowych, żeby nie naruszać spokoju zmarłych. Oznajmiła mi, że *muszymy* klusek i *nudli* (makaronu) dorobić, więc struganie *jabek* (kartofli) będzie moją robotą. Trzeba było iść do piwnicy i wybrać zdrowe kartofle, a zgniłki wyrzucić, ale nie do *loskrabin*, bo te szły do królików. Nici ze spania.

- *Mogymy po łobiedzie pospać. – oznajmiła Nysia. – Trza bydzie tyż babka w prodiżu upiec, bo kołoca bydzie za mało. Po połedniu pódymy w strona Tarnowskich Gor na Bobrowniki, do ciotki, żeby porzykać i trza coś im zaniysć tyż na jutro, niy wiym, co majom w kuchni. Tera trza mi jabek.*

- *Mamo, a po nie mogom iść chopcy?*

- *Lyjna (Helena) przeca łoni jesce w kościele.*

Ciemność piwnicy rano jest łaskawsza, bo okienka brudne od kurzu *gonka* przepuszczają trochę światła. Jest go na tyle, żeby nie bać się nocnych żyjatek, bo ich jeszcze nie widać. Tylko nie

wolno świecić górnego światła, wyciągając kartofle z *grodzy* (przegrody zimowej), żeby nie dojrzeć wśród nich ruchu. Teraz tam tylko zwiędnięte pomarszczone resztki, które po pewnym czasie wiotczały jak ciało staruszki i w świetle dnia w kuchni uwydatniały swoje zmarszczki. Jednak trzeba ich po kolei dotknąć i podzielić je na te do gotowania i te do świnki *abo* do królików, a nawet te na gnój. Selekcja następuje bardzo szybko, żeby nie poczuć wrażenia łaskotania po rękach. Potem schody, tupanie i może spadnie reszta żyjątek. W *łoskrabinach* (obierkach) nie siedziały, było im za mokro. Struganie kartofli to już zabawa, mimo że te pomarszczone trudniej rozbierać, za to kluski wychodzą z nich wyborne.

Najważniejsze, żeby obiad posmakował *ujkowi* i kuzynom. Na pewno przyjdą, może *staroska* z Galgenbergu przyprowadzą. Ale teraz czas na śniadanie, już słychać dzwony kościelne na następną mszę, więc nasi już prawie w domu. Tata wchodzi pierwszy, a za nim cała *celotka* (gromadka): *ujek*, bracia, kuzyni, siostra ze swoim małństwem, szwagier i nawet kot. Na moment zrobiło się tłoczno, ale jak zwykle u mamy nastąpiło cudowne rozmnożenie jedzenia, a tym razem śniadania. Zazwyczaj szwagier z rodziną szli do góry, jednak teraz wszyscy zasiedliśmy w trzeciej izbie i z pięciorga stołowników zrobiło się jedenaścioro. Ciotka Berta z rodziną pewnie *przydzie* po obiedzie. Panowie rozłożyli duży stół, który i tak będzie potrzebny popołudniu. I jak zwykle maminy cud rozmnożenia jedzenia zadziałał. Pięć grzanych kielbasek sprytnie skrojonych w kawałki wkroczyło na moment na patelnię razem z cebulką, kolacyjny bigos stanął na piecu, reszta jajek już się gotowała, a z piwnicy przymaszerowały zaprawione pomidory, ogórki w occie i *bania* (dynia) w occie, nikt ich nie nazywał piklami, zresztą ocet był uznawany za truciznę, więc te zaprawy były tylko dla dorosłych. Na stół dotarł nawet pasztet z królika zawekowany miesiąc temu. Chleb z *broubiksy* (pojemnika na chleb), a przy nim *tuste* (smalec) i wczoraj ruszane masło od sąsiada Sznitlocha. U nas zawsze w niedzielę rodzina cudownie się rozrastała. Pojawiały się osoby z pogranicza, zza granicy i z zagranicy. Z zagranicy to z *Efu* (z Niemiec), zza granicy to z *Aldrajchu* (z Zagłębia), a z pogranicza to z Bytomia. Ale u mamy wszyscy siadali przy jednym stole w dużej kuchni albo w trzeciej izbie i zjadali się czymkolwiek, co wymyśliła na poczęstunek. Czasami się zastanawiałam, czy rzeczywiście było to tak dobre albo nikt nie chciał mamie i innym psuć humoru, a który u nas zawsze wszystkim dopisywał. Kuzynce z centrum Bytomia wydawało się, że jest na wsi i zsiadłe mleko z butelki traktowała jak swojski rarytas, mimo maminy tłumaczeń, że to państwowe, *kupne*, bo te od krów sąsiadów jeszcze za drogie. Pamiętam przyjęcie Janusza do naszego grona. Trzeba zaznaczyć, że był mężem z odzysku kuzynki Basi (rozwodnikiem – wtedy rzecz nie do przyjęcia) i to w dodatku zegarmistrzem ze Sosnowca. Mama go zaadoptowała stwierdzeniem: *Janusz, mimo żeś Polok, to porządny chop z ciebie*. To wystarczyło, żeby wszyscy parsknęli, brzuchy zatrzęsły się, niektórzy nawet popłakali się ze śmiechu, a uprzedzenia rozeszły się po kościach.

Teraz zrobiło się bardzo głośno. Wszyscy zaczęli donosić do stołu. Tata pilnował, żeby był *kupny zymft* (musztarda) i świeżo starty chrzan. Każdy doglądał swojego smakołyku. Z rana niczego słodkiego nie wyciągało się na stół, a w niedzielę był odpoczynek od *hawerfloków*, *sznitek obłożonych bylygt i bonkawy* (płatków owsianych, złożonych kanapek i kawy zbożowej). Dopiero do prawdziwej kawy mielonej w ręcznym młynku przykręconym do *byfyju* (kredensu) można było dodać słodkie. *Ujek* Maryś zaczął nam smutnieć. Po nim zmarkotnieli kuzyni, aż zrobiło się nieswojo. Wiadomo, że zatęsknił, ale teraz ciotka nie była sama, kuzynki *ujka* miały czas przy niej posiedzieć, bo zmarłych nie zostawiało się samych. Krzątania stała się jakimś powolnym tańcem, który miał na celu omijanie rodziny zmarłej. Wszystkie kroki prowadziły do małej kuchni, gdzie wydawałyśmy potrawy na stół, aż siostra wygryzła mnie stamtąd i ja też musiałam wejść do trzeciej izby. Niezręczność ciszy kontrastowała ze zręcznością usługiwania przy stole. W końcu mama się zjawiała i po modlitwie przed *jedzyniym* znowu wpuściła między nas zwyczajność. Zaczęła zapraszać na obiad, przekonywać do pozostania u nas na ten czas. O dziwo, *ujek* z kuzynami zaczęli zachwalać jedzenie i już było głośno. Mama dopytała, co z obiadem, a najbliżsi ciotki *Nastki* stwierdzili, że chcą do domu. Oczywiście dostali obiad na wynos w garnuszkach i słoikach, *nylonbojtli* (torebek foliowych, plastikowych) nie było jeszcze. Śniadanie szybko minęło, czuło się pod głośnością rozmów

smutek z Bobrownik. Nie pomagała piękna pogoda, pachnące konwalie rozłożone na stole w płytkim wazonie i smakołyki. Nawet odejście *ujka* z kuzynami nie poprawiło nastroju. Zostaliśmy sami. Za niedługo ruszyliśmy z mamą do kościoła. Jeszcze przed obiadem sporo roboty, bo po nim zjawia się na pewno *starosek*, ciotka Berta, *ujki*, więc trzeba upiec babkę, a *potym pódymy rzykać do ciotki Nastki*. W niedzielę autobusy jeżdżą rzadziej, więc na pewno pójdziemy pieszo do Rudnych Piekar. Rzeczywiście po obiedzie na kawę przyszło całe rodzeństwo mamy ze swoimi żonami i mężami. Okazało się, że brakło miejsca dla mnie przy stole, więc zrozumiałam, że mam wolne. Mogłam iść do *srogiej kuchni* i się położyć na *szezlongu* (tapczanie). Tak chciałam odespać noc, że już nie przejmowałam się mamą, bo przecież nikt nie może spać w dzień, chyba żeby był przed nocną szychcą.

Obudził mnie intensywny zapach bzu, który przyniosła ciotka Dora. Mama zrobiła przeciąg, czyli wietrzy przed wyjściem. Dobrze, że wstałam. Większość już ubrana czekała pod drzwiami, mama spojrzała na mnie z troską i powiedziała, że mogę zostać w domu, jednak bardzo chciałam iść ze wszystkimi. Ruszyliśmy tym razem nie przy stawach, ale ścieżką przy drodze *bez chodnika z przikopem* (rowem). Moglibyśmy tylko podążać pojedynczo, ale ruch samochodowy był *lichy* i w zasadzie zagarnęliśmy asfalt dla siebie. Było cicho, każdy zamyślił się i dopóki ciotka Berta nie zaczęła szlochać, było znośnie. W końcu mama z ciotką zostały w tyle i inni pospieszyli, jakby chcieli wyprzedzić płacz. Nie powiem, że spacer stał się ponaddzwiękowy, ale zrobiło się ciszej. W tej chwili wołałam świat mężczyzn, który tak jak oni zdawał się mniej skomplikowany, mniej wymagający, prosty, więc dotrzymywałam kroku tacie i *ujkom*. Morze emocji, fontanny łez, *ślimtanie* (płacz), fale tęsknoty za zmarłym, nieukojonny ocean bólu to po stronie kobiet, a z drugiej, tej męskiej, suchość oczu, fatamorgana wspomnień, koloryt anegdot, oaza na pustyni smutku.

Na miejscu przed wejściem do domu, jak to w niedzielę bywało, stali lub siedzieli na ławeczkach sąsiedzi. Wspominki o zmarłej były wręcz rytuałem, uwalniały ból, ćwiczyły pamięć, a nawet dawały wstęp do wieczornej modlitwy. Wiadomo *Nastkę* znali niektórzy jeszcze sprzed *Nymca*. Co prawda była wtedy ledwo nastolatką, ale już od października 1939r. musiała chodzić na roboty do Tarnowskich Gór. Wędrowała, ponieważ skończyła szkołę, dostała nakaz przymusowej pracy na rzecz III Rzeszy, w jej przypadku sprzątanina u oficera Wehrmachtu. Ciotka, z żabiej perspektywy dziecka wydawała mi się już starszą kobietą, zamkniętą w rozdziale z czasów II wojny światowej, mimo że ta sama historia komplikowała życie najbliższych. O ile mama *Nysia* już wtedy sama wychowywała dziecko, zarabiała i czekała na męża, który miał wrócić z *obozu pracy*, żeby go nie nazwać obozem koncentracyjnym, o tyle młodsza *Nastka* zarabiała i przynosiła dodatkowe pieniądze do domu, była na *służbie*. Nie skarżyła się, przecież na *volksliście* miała *trójkę*, a to później dawało jej *personalausweis* (dowód osobisty) na rok. Jako córka podejrzanego politycznie Górnoszlązaka (były powstaniec) otrzymywała możliwość wykazania się na robotach. *Nastka* była sprytna i mądra jak na swój wiek. Nie na darmo *rechtórka* (nauczycielka) chodziła za babką *Wichtą* (Wiktoria), żeby pozwoliła swoim córkom, a szczególnie *Nastce*, iść do kolegium nauczycielskiego w Tarnowskich Górach. Babka miała powiedzieć, że *Korfancioki są tera, a zaroz ich braknie i dziolch nie puści na stracynie...* To było wielopokoleniowe doświadczenie. Hitlerowcy, a potem Ruscy w pierwszym rządzie wymordowali lub uwięzili miejscową inteligencję związaną z polską szkołą, urzędami, a nawet uczącą się młodzież. *Chopionki* były mądrymi kobietami i potrafiły rozważyć, co dla rodziny najważniejsze. Marzenia córek, a być może samej babki, legły w gruzach wpisanych w wielką historię. *Nastce* wojna zabrała też nienarodzone dziecko, niestety poroniła w trzecim miesiącu. Była przeświadczona, że miałyby córeczkę. Chciała ją nazwać Waleska, z marzeń o blond warkoczu, z historii von Wincklerów. Według ciotki druga ciąża już bliźniacza nadrobiła zaległości, bo *Jorguś* i *Zeflik* byli jak ich tata pszenicznymi blondynami.

Kuzyni właśnie przepuścili mnie na wąskich schodach i zatrzymali się przy drzwiach, czekając na pozostałych. Zachodzące słońce w przedsionku zapadało w zmrok. Ciężkie *sztory* (kotary), zasłonięte lustra i wszelaki zakaz szklanych odbić światła zwabił tu noc. Nawet powietrze stanęło w miejscu, zagęszczając tłustą ciemność. Na końcu korytarza zabłysły pojedyncze

świeczki, znak czuwania, zapalanej gorliwości modlitwy przy zwłokach. W dłoniach kobiet pojawiły się różańce, którymi odganiały zło śmierci. Wtedy myślałam tylko o czerni pod powiekami. Mocno je zacisnęłam, żeby zobaczyć czerwień, a to zwykle poczucie tętniącego życia nie sprawdziło się, jakby wszystko wokół zamarło. Tylko równe płynięcie modlitwy uspakajało swym rytmem. Zdrowaśkowe akcenty kładły się w rytm zaśpiewu niczym w jednostajne przywoływania. Panowie też pojedynczo włączali się w chór modlących, a ich basowe niższe głosy okalały kobiecy płacz, nie wpuszczały między nich skrajności żalu. Wdowiec został usadowiony przy swojej żonie. Widziałam, że *ujek* Maryś najchętniej położyłby się przy żonie i zaszczołał, ale obecność innych i ich modlitwa uwięziły jego wolę, a głos z każdym oddechem też wiązał mu w gardle. Niemy, bez łez, wręcz skamieniały i nieobecny. Synowie również.

Nieprzespany sen ciotki wydał mi się spokojem i nie rozumiałam, dlaczego wszyscy z tego powodu rozpaczają. Staralam się wzbudzić w sobie płacz, ale suchość niewyspanych oczu odmawiała łez. Patrzyłam na spokojne oblicze zmarłej i nie mogłam wtórować obecnym matkom, żonom i córkom. Trzymałam w ręku *taszyntuch* (chusteczkę do nosa), który właśnie ona mi *obheklowała*, czyli *heknadłą* (szydełkiem) dorobiła koronkę do batystu. Trzymałam i nie potrafiłam wydać z siebie ani krztyny wilgoci. W końcu usiadłam na *ryczce*, żeby nikt nie zajrzał mi do oczu. Jako jedenastolatka w tym, co się działo, słyszałam zgrzyt ścierających się myśli o śmierci jako powrotu *do domu Ojca*, z czego powinna płynąć radość.

Po wszystkim wracaliśmy pieszo do domu i nikt nie miał ochoty na rozmowę. Zaczęłam wspominać, błądzić po pamięci. Zobaczyłam ciotkę w kościele w dniu mojej pierwszej komunii ubraną w granatowy kostium z białymi wypustkami na linii szwów, które podkreślały jej figurę, a w zasadzie talię zazwyczaj dawno już zapomnianą u większości kobiet w jej wieku. Trzeba przyznać, że była elegancka i urodziwa. Na głowie kapelusz w przeciwieństwie do chust reszty zgromadzonych w nawie, tylko ona i matka chrzestna, wyróżniały się filcowymi kapeluszami z rondem. Na mszy z chóru można było je zauważyć z daleka. *Ujek* Maryś nie musiał jej szukać w tłumie. Chodziła *po pańsku*, chociaż babka bardzo chciała, żeby któraś z córek odziedziczyła po niej *chopski strój*, który był kosztowny i z racji tego dziedziczony przez następne pokolenia. Ciotka by tego nie zrobiła, była buntowniczką, do tego nowoczesną jak na tamte czasy. Nosiła spódnice i sukienki midi z ukłonem w stronę mini, tuż za kolano schowane w pończosze. Jednak nigdy nie widziałam jej z makijażem, a nawet moja mama miała tusz do rzęs, przedwojenny puder i róż w kamieniu, więc pewnie używały kosmetyków, jednak tak delikatnie, że prawie niezauważalnie. Ciotka zawsze górowała nad kobietami z rodziny nie tylko wzrostem, nie wywyższała się, ale skutecznie broniła swojego zdania. Podejrzewam, że dlatego wybrała Marysia, człowieka na wskroś ugodowego, bez jakichkolwiek nałogów. Sama go angażowała w prace domowe, a on trzynaście lat starszy od niej cieszył się z tej bliskości. Lubili wyjeżdżać na wczasy nad morze, spędzać ze sobą jak najwięcej czasu, jakby świat miał się za chwilę skończyć. Teraz *ujkowi* zmieni się wszystko, przez ostatnie lata spędzali ze sobą czas w każdej minucie, okazując sobie troskę i zrozumienie. *Starosek* z babką *Wichtą* też czekali na swoją wspólną starość i się doczekali jej, ale nie na długo. Ale wtedy w drodze do domu *ujek* i *ciotka* zdawali mi się starzy. Pięć i sześć dekad życia przyłożonych do jedenastoletniej egzystencji nabierało posmaku wieczności, bo z perspektywy dziecka czas zbyt wolno toczył się ku dorosłości. Wydawało mi się, że ciotka *Nastka* jest najszcześniejszą z kobiet w naszej rodzinie. Wsłuchiwała się we wszystkie skargi na mężów, ale sama złego słowa nie wypowiedziała o swoim. Zresztą niezwykle rzadko o nim mówiła, jakby tym milczeniem przypominała, że stroniący od alkoholu, obowiązkowy, chodzący z nią do kościoła i na zakupy, opiekujący się nią i dziećmi chłop był czymś zwyczajnym.

Ciotka *Nastka* tak odchodziła w moją przeszłość, jak ja oddalałam się od Bobrownik. Maszerowaliśmy raźnie, bo majowe wieczorne powietrze nabierało rzeźkości i zaganiało nas do domowych pieleszy, pod pierzynę w trzeciej izbie. Musiałyśmy z mamą odespać nockę, a ja do szkoły, inni do pracy, mama do kuchni i rzeczywiście tak nas zastał poniedziałek. Pogrzeb ogłoszono we wtorek, więc były jeszcze dwa dni na czuwanie przy zmarłej, czyli na modlitwę i wspomnianie.

Rozpoznaję bolesne pociągnięcie za palec u stopy - to *Zyguś* się do mnie przyczepił. Wychodzi *trzyćwerci na szósto* do roboty, to mógłby się zlitować nade mną. Nie, starszy brat musi się pastwić, trochę młodszy *Wichtor* zaczął mnie gilgać w stopę. Nie ma rady, trzeba wstać. Czuję zapach cynamonu, więc wiem, że na śniadanie będzie ryż na gęsto z maselkiem, cynamonem i być może z tartym jabłkiem. Szybciutko zmagwiam modlitwę, zdrowaśka chyba wystarczy. No to mama obudziła się na pewno przed piątą. Trzeba do stołu, potem do szkoły.

W drodze do niej spotkałam Franka, który już doganiał mnie za domem. Poszliśmy przez pola, miedzami, słuchając skwierczenia skowronków na wysokim bezchmurnym niebie. Przynajmniej one korzystały ze słonecznej kąpieli. Najchętniej położyłabym się między kołyszącym się zbożem i zasnęła, nie bacząc na otrząsające się z rosy chwasty, patrząc na unoszące się ptaki. Wszystko żyło na wolności, tylko my bez radości wlekliśmy się do budy. Powiedziałam mu, że jutro się nie widzimy, bo idę na pogrzeb ciotki. Babka Franka, którą nazywał *omą*, była w *gonku największą klachulą* (plotkarą), więc on już od wczoraj zazdrościł mi wolnego. Dziś wiem, że bezprzewodowe przesyłanie wiadomości wymyśliły nasze *chopionki*, bo zanim *dowlokłam* się po szkole do domu, mama już z wiadomych źródeł miała obraz pełen tego, z kim, kiedy i o czym rozmawiałam, a nie daj Boże, żebym coś zrobiła źle. Pognaliśmy przez pola, a jednak dzwonek nas zastał na szkolnym korytarzu, więc ruszyliśmy z impetem na pierwsze piętro, gdzie trzeba było stać na bacność w parach przed salą. Szybko znalazłam swoją, bo chłopcy jeszcze nie szukali towarzystwa dziewcząt, chyba żeby do pojedynku *na barana* – wtedy dziewczyna jako lżejsza pozwalała na szybsze manewry. Dzisiaj sześć lekcji, dwie ostatnie to w-f, więc da radę wysiedzieć tak długo. Najgorsza sobota, bo siedem. Teraz akurat dwa *poloki*, potem mata, a najgorzej na *ruskim*. Wpakowaliśmy się do klasy, oczywiście po cichu, bo nikt nie chciał dostać dziennikiem po głowie. Nasza pani od polskiego i wychowawczyni akurat rzadko używa siłowego argumentu, ale lepiej nie sprawdzać jej siły rażenia. Czytanki zostały otwarte na fragmencie „Antka” Prusa. Podobno do przeczytania w domu, ale pani ogarnęła klasę swoim jednym wszystkowidzącym spojrzeniem i już wiedziała, że trzy czwarte klasy pewnie zapomniało o tym, więc dała nam trochę czasu, mówiąc, że mamy sobie przypomnieć treść czytanki. Dotarłam szybko do opisu leczenia Rozalki, siostry Antka:

Już ją całkiem wsunęto, piec założono deską i baby poczęły odmawiać trzy zdrowaśki...

— *Zdrowaś, Panno Mario, łaski pełna...*

— *Matulu! matulu moja!... — jęczała nieszczęśliwa dziewczyna. — O matulu!...*

— *Pan z tobą, błogosławionaś ty między niewiastami...*

Teraz Antek podbiegł do pieca i schwycił matkę za spódnicę.

— *Matulu! — zawołał z płaczem — a dyć ją tam na śmierć zaboli!...*

Ale tyle tylko zyskał, że dostał w łeb, a żeby nie przeszkadzał odmawiać zdrowasiek. Jakoś i chora przestała bić w deskę, rzucać się i krzyczeć. Trzy zdrowaśki odmówiono, deskę odstawiono.

W głębi pieca leżał trup ze skórą czerwoną, gdzieniegdzie oblaźłą.

I w tym momencie moja ręka wystrzeliła w górę, a pani zapytała, co się stało. Wykrztusiłam, że chcę do ubikacji. Byłam najwyraźniej niewyraźna, bo zostałam wypuszczona z klasy. Zrobiło mi się niedobrze, przed oczyma majaczył obraz poparzonej Rozalki leżącej w wielkim piecu chlebowym z naszej piekarni, a ja wiedziałam, co znaczy poparzenie ze schodzącą z ciała skórą, ślad po nich pozostał na grzbiecie mojej dłoni. Nie chciałam wracać do ławki, bo ból tej dziewczynki musiał być niewyobrażalny, bo tak bolało całe ciało. Pochliptałam. Za chwilę do klopa wpadła Ula i zarządziła, że mam z nią iść albo do sali, albo do higienistki. Nie było wyjścia. Pani oczywiście powtórzyła pytanie, a ja nie wiedziałam, co powiedzieć. Zapytałam tylko, czy to z Rozalką stało się naprawdę. Chłopcy ryknęli śmiechem, ale pod wzrokiem wychowawczyni uciszyli się. Jej palec wskazał największego dowcipnisia i Broniek się skurczył, ale to nic nie dało i musiał wstać. Kazała mu powiedzieć, co w czytance stało się z siostrą Antka. Kolega milczał, a w klasie zrobiło się cicho i gęsto, jakby powietrze miało strukturę wody. Broniek też otwierał usta i zamykał, robił karpika. Niczego nie wiedzieli też kolejni pytani. W końcu mieli wytłumaczyć dlaczego się ze mnie śmiali. Nawet pani zaczęło

doskwierać to milczenie, aż Franek wstał i stwierdził, że się śmiał, bo przecież ta czytanka to nieprawda, a ja uwierzyłam w to, bo przecież to jak w bajce o Jasiu i Małgosi. Przełknęłam ślinę, próbując zatrzymać czas. Nie chciałam słyszeć tego, co będzie potem. Nie chciałam krzyku, że nie dość, że nie potrafimy czytać, bo tylko dwie osoby kawałek doczytały, to jeszcze wszyscy nie rozumiemy tego, co mamy przed nosem. Że z nas Osiołki i każdy nam może dać do podpisu cyrograf i my go podpiszemy, żeby tylko nie przyznać się, że nie potrafimy czytać. Gdy czerwień zeszała z jej twarzy, zniżył się jej głos, usłyszałam:

- Helenko przeczytaj na głos fragment, który mówi o śmierci Rozalki.

Nie było rady, tylko dzwonek mógł nas uratować, ale minęła zaledwie połowa lekcji. Czytałam, a litery zdawały się przeskakiwać z linijki do innej linijki, jakby ożyły. Głos mi drżał i czułam, jak wokół mnie rośnie mur, a potem jakby wszyscy zniknęli i zostałam sama w sali. Podniosłam wzrok i zobaczyłam przerażoną minę Franka. Anielka z mojej ławki miała zaczerwienione oczy. Pani orzekła, że możemy się cieszyć, że żyjemy w takich czasach, kiedy mamy lekarzy zamiast *znachorek, mądrych babek*, które nie leczyły, lecz często zabijały chorych, bo wierzyły w zabobony. Powiedziała, że pisarz w tamtych czasach często zapisywał swoje obserwacje. Nie chciałam, żeby to zdarzenie z Rozalką w jakikolwiek sposób przypominało życie, przecież mówiliśmy na lekcji, że autor napisał to prawdopodobnie wtedy, gdy urodził się dziadek. Przecież to niemożliwe, żeby w domu o czymś takim zapomniano, na pewno ktoś by nam to opowiedział. Byłam wdzięczna Frankowi za jego słowa. Nie wyobrażałam sobie, że moja prababka mogłaby wsadzić babcię do pieca na trzy zdrowaśki. Dzwonek przerwał mój wewnętrzny monolog. Hukiem, łoskotem i zgiełkiem odreagowaliśmy na podwórku, a w zasadzie na schodach, bo pięciominutowa przerwa wystarczyła tylko na tyle. Każdy ruch był lepszy od siedzenia w ławce, którą w tej chwili znowu okupowałyśmy z Anielką. Na szczęście pani kazała jeszcze raz w domu przeczytać czytanke i zaczęła się gramatyka.

Spokojnie dotrwałam do szóstej lekcji. Mama na pewno czeka z obiadem. Trzeba się pospieszyć i pobiec ulicą pod rozłożystymi klonami pod górę, by w końcu miedzą przez pole bez zrywania maków dotrzeć na plac. Przy okazji przegonić *szmaterloki* (motyle), bo tylko na tyle starczy czasu przed powrotem braci na obiad. Jeszcze zahaczyć o piekarnię i kupić dwa duże chleby ze spieczoną błyszczącą skórką i pachnącą paloną mąką. Siatka z długimi *hynglami* (uchwyty) na plecy i pędem do domu.

Z *lauby* (werandy) otwartej *do mola* (na oścież) dolatywał zapach obiadu, *forchangi furgaly* (zasłonki unosiły się) i trzepotały jak *ptoki*. Otwarte, to bracia już są. Mama zawołała do małej kuchni tatę po talerz z zupą, czyli zdążyłam i nie będzie *godki*, że się *zapominom*. *Momy dzisioj nowy lobiod, bo wczoraj wszystko poszło*. Jeżeli zostało, to nie mogło się zmarnować. Mięso z rzadka się pojawiało, bo drogie i w sklepie tylko gościło na moment. Z ciotką za chwilę trzeba będzie się oficjalnie pożegnać i mama przy stole przypominała, że jutro o ósmej *trza* wyjść, co by *zdążyć na wyprowadzynie trumny z domu, potym piechty do kościoła, na smyntorz i nazod do dom*.

Rzeczywiście rano po szóstej stało na stole śniadanie. Obudził mnie zapach prawdziwej kawy, którą wczoraj ręcznie zmieliłam, niestety starsi pili ją tylko przy wyjątkowych okazjach. Jej aromat przemawiał do moich wszystkich zmysłów. Budził wyobrażenie zakazanego owocu, gdy intensywnie szlachetny zapach połączył się z gorzkim a zarazem słodkim smakiem i dotykiem delikatnej plamki śmietany na powierzchni arabiki.

Mama już się martwiła, czy wszyscy dotrą na tak *wczesny* pogrzeb, czy zdążyli pozałatwiać wolne. W tym ostatnim rytuale trzeba było zadbać o ilość przekładającą się w jakość. Rozumiano to tak: maksymalny szacunek widoczny w morzu kwiatów i głów obecnych na tej uroczystości. Nie mogły to być zwyczajne ogrodowe kwiaty, najlepiej takie w folii, czyli *kwiaciarniane*, pomijając zamówione wieńce lub palmy od najbliższych. Oczywiście do tego zakręty konduktu żałobnego zawijające rzekę ciemnych sylwetek, podążających w takt melodii końskich kopyt lub tych uroczyste wygrywanych przez orkiestrę dętą, w przypadku męskiego pochówku. Nie dotyczyło to dzisiejszego pogrzebu. Ciotka pracowała zawodowo, ale nie na kopalni. Wszystkie znane mi kobiety zajmowały się przede wszystkim *chalpą* (domem), a *ujek* Maryś oszczędził jej tego. Działo się tak, bo punktem honoru Słazaka było utrzymanie

rodziny, by matka mogła spokojnie wychować dzieci, *obstalować* przyszłość rodziny. Ciotka przecierała szlak, zabrała się i za pracę, i za dom, gdzie jej towarzyszył mąż. *Tukej* (tutaj) zazwyczaj to mężczyzna zostawiał *geltak* (wypłatę, pobory) kobiecie, bo to akurat jej babki przekazywały determinację przetrwania pod wszelakimi rządami. Ojcowie z rzadka wtrącali się w ten system. Czasami mamy i babki ożywiały *kindersztubę* i w ruch wprawiały szmaty, szmatki, a gdy taka mokra owinęła się, dookoła łydki albo wylądowała na tyłku, to bolało i zarazem swędziało. Takie wydłużone ręce sprawiedliwości odmierzały karę tu i teraz, robiły ujście dla wezbranego i słusznego gniewu. Gdyby doszło do jakiegokolwiek pomyłki, można było *kusika*, *dzióbka* (buziaczka) dostać, a szczególnie u ciotek. Rej w tym wodziła właśnie ta dzisiaj żegnana, bo miała sentyment do moich dziewczęcych blond warkoczy.

Z zamyślenia wytrącił mnie tekst pieśni, która zawsze pomagała zapłakać nad zmarłym i żywymi:

Pij Twój kielich z Bożej woli, do kropelki sącz,

A to serce, co tak boli, z sercem Bożym złącz....

Jakbyśmy mówili w imieniu ciotki do wujka. Jakbyśmy na ten moment stanęli po jej stronie, a potem:

Dziś moją duszę w ręce Twe powierzam,

mój Stworzycielu i najlepszy Ojcze.

Do domu wracam jak strudzony pielgrzym,

a Ty z miłością przyjmij mnie z powrotem.

Jeszcze na schodach refren jak echo podążał za niosącymi trumnę. Wiem, że w Kościele Przemienienia Pańskiego po mszy przed wyjściem na cmentarz też będę miała okazję jeszcze raz prosić w imieniu ciotki o otwarcie bramy nieba. I tylko kare konie z zaprzęgu niecierpliwie napierały kopytami na kostkę brukową, jakby przed nimi ziemia miała się rozstać. Jakby miały uprowadzić zmarłą od razu w kopalniane odmęty. Na ich łbach powiewały farbowane na czarno wysokie strusie pióra, a u nóg firanki włosia opadały mniejszą kurtyną niż ich wyczesane grzywy z pomponami. Ruch potężnych mięśni połyskiwał na błyszczącej od porannego słońca sierści. Dwa ogiery prezentowały się nad wyraz dostojnie, a jednocześnie złowieszczo. Czuło się ich siłę buzującą pod skórą. Jakby rzeźbiarz wprawił w ruch ich asfaltowe ciała nakryte kirem, a przy każdym dotknięciu muszych skrzydeł nieosiodlane grzbiety iskrzyły falą drgań. Jednak stały w miejscu przebierając nogami, klaszcząc podkowami. Tworzyły harmonijną całość z czarnym jak heban karawanem przywodzącym na myśl karocę. Woźnica spokojnie siedział na wysokim koźle nakrytym czarnym sukmem.

Z tego samego ciężkiego materiału uszyto jemu i pozostałym pracownikom odświętne peleryny. Ich ubiór przypominał liberię ze srebrnymi naszywkami. Jak tylko ujek i kuzyni wyszli z klatki z trumną na ramionach, a z nimi trzech *kopidołowych* (grabarzowych) żałobników, mama złapała mnie za rękę i ustawiliśmy się z tatą w drugim szeregu za *ujkiem* Marysiem z synami. Pojazd, do którego włożyli sosnową trumnę, był niepodobny do żadnego, przecież zabierał ze sobą zmarłą w ostatnią podróż. Boczne ściany ze szkła zmatowionego w palmowe wzory, które okalały trumnę wsuniętą do wewnątrz. Narożniki stanowiły spiralne kolumny, przy nich, na filarach, umieszczono postacie lamentujących aniołów przywołujących żalobę i pamięć o zmarłej, a żywym przypominały o jej dobroci. W jednej ręce trzymają posrebrzane wieńce, a drugą ugiętą w łokciu dotykają czoła rozpaczając. Na dachu powozu klęczy Anioł Wiary z krzyżem w ręku - symbol zwycięstwa nad śmiercią, czyli *colko prowdą wiary* (cała prawda wiary).

Cieszyłam się, że nie musiałyśmy trzymać w rękach kwiatów. Tata przyniósł wieniec, który oddał, by złożono go przy trumnie. Zostaliśmy z pustymi rękami i mama podała mi *obheklowany taszyntuch* (bawełniana chusteczka do nosa z szydełkowym brzegiem), który przypominał prezent od ciotki. Jakby potwierdziła jej obecność, a jednocześnie nakłaniała do płaczu, delikatnie upominała się o żal, taki zamyślony smutek. Jeszcze czułam zapach tych paru kropelek socjalistycznego *parfinu* (perfum) *Być może*, które nawet ciotka *Nastka* trzymała w *taśce* (torebce) jak lekarstwo, jak odrobinę luksusu, bo w buteleczkach po przedwojennych perfumach zabrakło już zapachu.

Moje oczy były suche, nie potrafiłam uronić łzy. Zła na siebie schowałam twarz w chusteczce, a potem odważnie spojrzałam w słońce, bo ono czasami pozwalało załzawić. I nic, nigdy *nie umiałach ślimtać ani ślompać* (płakać) na zawołanie. Mama spojrzała za siebie przy zakręcie do kościoła, sprawdzała długość konduktu i z zadowoleniem przekazała ojcu, że o Maryjce *rychtig žodyn nie zapomniol*. Kondukt ciągnął się niczym wąż krętymi gonkami, stawał się trenem żalobnym okrywającym pamięć.